



Opowieści Pana Karpia

Jan Certa

Opowieści Pana Karpia

autor: *Jan Certa*

Ilustracje: Cyprian Chaber
Korekta: Paweł Noryśkiewicz

Złоторia 2023

Opowieści Pana Karpia

1. Jak z Liszki karpie wypłynęły05
2. Jak powódź pomogła Tomaszowi z Żabięgo Kraju09
3. Jak medal w Berlinie karp zdobywał13
4. Jak dzielny karp wodospad pokonał17
5. Jak staw uratował kijankę21
6. Jak niedźwiedź przegrał z ptaszkami25
7. Jak wydrze pereł się zachciało29
8. Jak balon przepędził czarnego złodziejaska33
9. Jak rybarczyk uratował Kraków przed smokiem37
10. Jak karpie łykają czekoladki41
11. Jak pierścień królowej odnaleziono45
12. Jak wodnik Rzęsorek tytuł królewski
karpowi załatwił49

Jak z Liszki karpie wypłynęły

Dawno, dawno temu na wzgórzu stał klasztor. Pewnego razu mnich Jan dostał za zadanie od przeora Pawła zdobycie jedzenia dla wszystkich 12 mnichów, którzy mieszkali w klasztorze. Zadanie nie było łatwe, bo przeor bardzo lubił rybne dania, a obok klasztoru nie było ani morza, ani jeziora, ani nawet porządnej rzeki. Opodal płynęła tylko mała rzeczka Liszka, którą w lecie przeskoczyć mogła nawet żaba.

Jan myślał dzień, potem drugi, aż któregoś razu w czasie spaceru po łące zobaczył właśnie żabę. Biedactwo wpadło do głębokiej jamy i nie mogło z niej wyskoczyć. Mnich miał dobre serce, więc zlitował się, wyjął żabę i wpuścił do rzeczki Liszki. Ta od razu dała nura w ożywczą wodę, a po chwili wychyliła się uśmiechnięta, mówiąc:

– Wiem jaki masz problem, ale nie martw się, tylko patrz w niebo – zakumkała żaba, zanurkowała w wodę i tyle ją widziano.

– Niezwyczajna żaba – pomyślał mnich. – Nie widziałem takiej, jak żyję.

Zaraz potem niebo się zachmurzyło, zrobiło się szaro i zaczął padać rześisty deszcz. Padało dzień, drugi, trzeci, aż z małej rzeczki Liszki, zrobiła się całkiem spora rzeka Licha. Jej wody rozlały się na łąki wokół klasztoru, a przechodzący właśnie obok mnich Jan zauważył grzbiety dużych ryb. Zadowolony zaczął podśpiewywać wymyśloną naprędce piosenkę:

- O ja szczęśliwy, o ja szczęśliwy,
Wreszcie dla mnichów zdobędę ryby.
A czy to będą karpie, czy leszcze?
Wnet zobaczymy, co pływa jeszcze.



Gdy woda opadła, oczom mnicha ukazały się trzy dorodne karpie. Jan nie mógł uwierzyć, jak w tak małej rzeczce uchowały się tak wielkie ryby. Wszedł po kolana do wody, złowił karpie i uradowany zaniósł je do klasztornej kuchni, gdzie kucharz przygotował smaczny posiłek dla mieszkańców klasztoru.

Po tym szczęśliwym zdarzeniu mnisi na rzeczce zbudowali tamę, łąkę otoczyli ziemnym wałem zwanym groblą i tak właśnie powstał pierwszy staw. Na pamiątkę tego wydarzenia tamę w stawie do dziś zwie się mnichem, a groble się stawia, czyli buduje wokół przyszłego stawu. W stawach od tamtej pory hoduje się karpie. Z nimi mieszkają też żaby. Przeważnie zwykłe, niegadające, ale gdy spełnisz dobry uczynek, może się zdarzyć, że usłyszysz głos zaczarowanej żabki.



Jak powódź pomogła Tomaszowi z Żabiego Kraju

Sto lat temu, a może więcej, w okolicach Cieszyna można było zobaczyć mnóstwo pięknych stawów z karpiami, które to karpie hodował mistrz rybacki Tomasz. Ludzie nazywali to miejsce Żabim Krajem, bo każdej wiosny na wiele kilometrów dookoła rozchodził się donośny rechot tych zwierząt. Tomasz znał się na rybach znał się jak mało kto. Dzięki jego pracy karpie z tego gospodarstwa trafiały na stoły Cieszyna i innych okolicznych miast, miasteczek i wsi. Największe ryby odławiano jesienią każdego roku, a mniejsze zostawiano na następne lata. Cała hodowla trwała pięć długich lat i Tomasz od pewnego czasu głowił się jak to wszystko przyspieszyć. Aż w czerwcu pewnego roku przyszła powódź świętojańska.

Tomasz jeździł konno po groblach i ze strachem obserwował jak woda z Wisły zbliżała się do stawów. W pewnym momencie woda gwałtownie zaczęła się przelewać przez największy staw, porywając wraz z nurtem małe karpiki. Po kilku dniach mistrz rybacki zamiast się cieszyć, że powódź już minęła, był wyraźnie smutny. Wiedział, że stracił cały narybek i za jakiś czas będzie musiał zamknąć swoją hodowlę. Po paru tygodniach, kiedy już omal pogodził się z losem, zauważył dziwną postać na brzegu najmniejszego stawu. To coś było całe zielone, miało kapelusz i długie czułki.

– *To chyba wielki konik polny, tyle że w kapeluszu*
– *zdziwił się Tomasz, bo przecież nigdy wcześniej*
nie widział owada w kapeluszu.

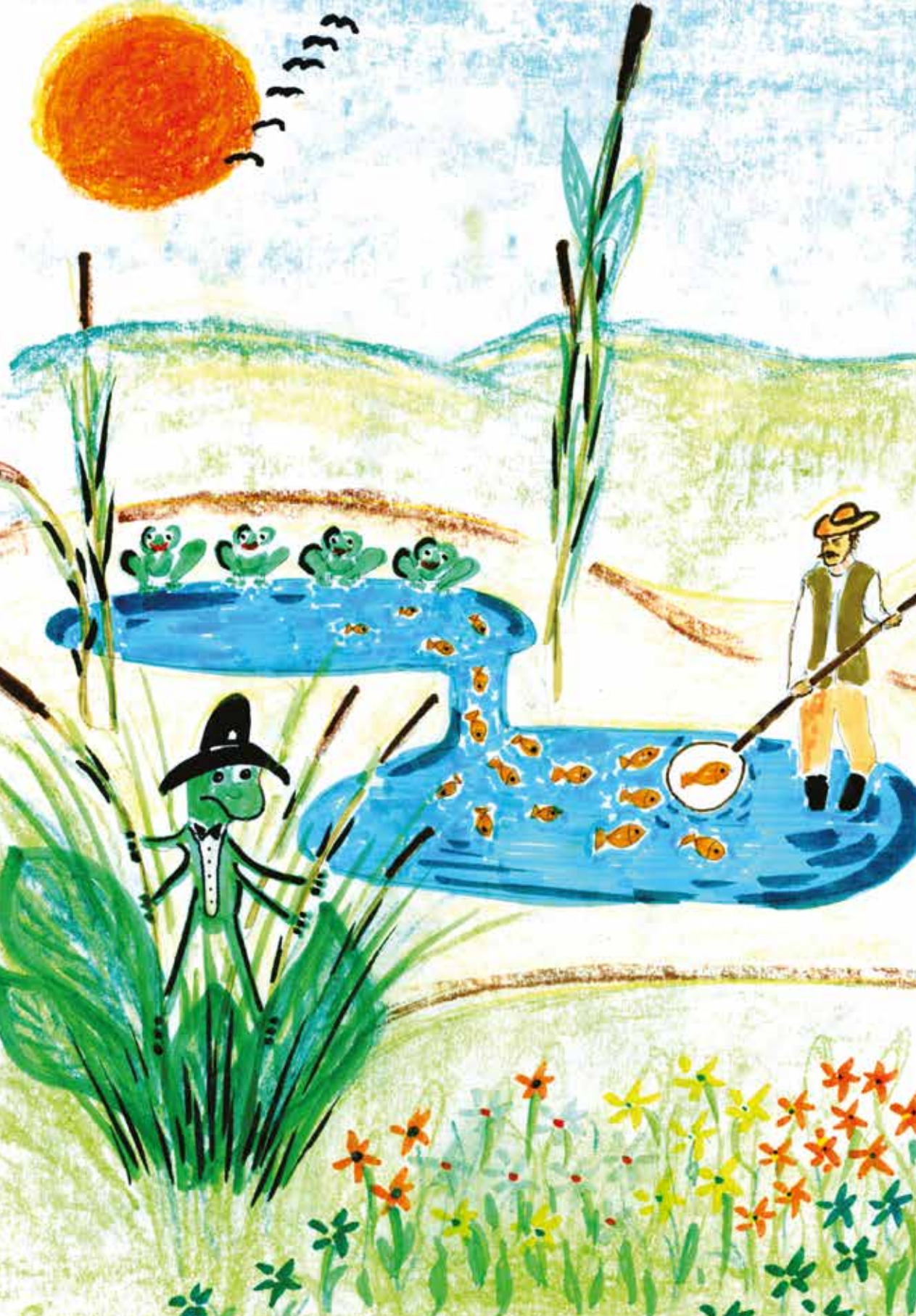
Konik polny w tym czasie nucił sobie pod nosem:

– *Dylu, dylu na badylu,*
Żabka kumka: kum, kum, kum,
Gdzie rybacy łowią karpie,
Głodomorów wielki tłum.

– *Za kilka lat nie będziemy już tu hodować karpia dla*
smakoszy rybnych potraw – smutno westchnął Tomasz.
– *Powódź zabrała mi narybek, to już koniec mojej pracy*
na stawach.

– *Nie martw się, spójrz na ten najmniejszy staw, tam są*
twoje malutkie karpie – powiedział konik polny i wskazał
na wodę. – Przypadkiem woda przeniosła je w czasie
powodzi, ale co ważne, znalazły tam dla siebie więcej
pokarmu. W dużym stawie ciągle musiały walczyć
o jedzenie ze starszymi karpiami i często pływały głodne.

Tomasz nie mógł uwierzyć – młode ryby były teraz dwa razy większe niż w latach poprzednich. Od czasu powodzi i spotkania z konikiem polnym w kapeluszu zawsze już przenosił młode karpie do osobnych płytkich stawów i dzięki temu dorastały one już po trzech, a nie jak dotąd po pięciu latach.



Jak medal w Berlinie karp zdobywał

Było to dawno, bo w roku 1880.

– *Tato, tato, w tej wielkiej beczce coś pływa!* – krzyknął podekscytowany Piotruś.

– *Pływa?* – zapytał zdziwiony tata, który razem z siedmioletnim synem przechodzili właśnie przez specjalny wagon dla zwierząt w pociągu jadącym z Katowic aż do Berlina.

– *Tak, tu są jakieś duże ryby, zobacz* – opowiadał z przejęciem Piotruś, z buzią przyklejoną do krawędzi beczki.

Tata podszedł bliżej, zajrzał do środka, gdzie rzeczywiście widać było w wodzie grzbiety dużych ryb.

– *Proszę nie płoszyć rybek* – nagle zza ich pleców dało się słyszeć stanowczy męski głos. – *Nazywam się Adolf Gasch, a to są moje karpie, które wiozę z Kaniowa na wystawę rolniczą do Berlina. Dlatego wolałbym, żeby ryby się nie denerwowały, tylko pływały w spokoju. Zatem proszę odsunąć się od tych beczek* – dodał na koniec pan Adolf.

Ciekawscy cofnęli się o krok, ale widać było po twarzy chłopca, że zawartość beczek dopiero teraz go naprawdę zainteresowała.

– *Jak to, ryby jadą na wystawę?* – nie ukrywając zdziwienia zapytał Piotruś.

– *Słyszałem o wystawach psów albo koni, ale ryb?* – dodał tata Piotrusia niemniej zaskoczony.

– *Ha, ha, ha!* – zaśmiał się pan Gasch. – *Jestem hodowcą spod Bielska. Przez wiele lat wybierałem z moich stawów najpiękniejsze sztuki karpia i tylko takie potem rozmnażałem. Potem znów hodowałem i znów rozmnażałem.*

To się nazywa selekcja. Dzięki temu w naszych stawach w Kaniowie dochowaliśmy się karpia z niewielkimi głowami, zaokrąglonymi tułowiami z niewielką liczbą łusek ułożonych w regularnych rzędach. Nazwaliśmy je karpiami galicyjskimi, a teraz jedziemy po medal do Berlina i wierzę, że mamy tam spore szanse.

– *To bardzo ciekawe, ale niestety musimy zaraz wysiadać, bo zbliżamy się do stacji Poznań* – poinformował tata Piotrusia.

– *Tak, bardzo ciekawe rzeczy pan mówił* – dodał Piotruś. – *Szkoda, że nie możemy z panem jechać. No to życzymy powodzenia i trzymamy kciuki za ten medal.*

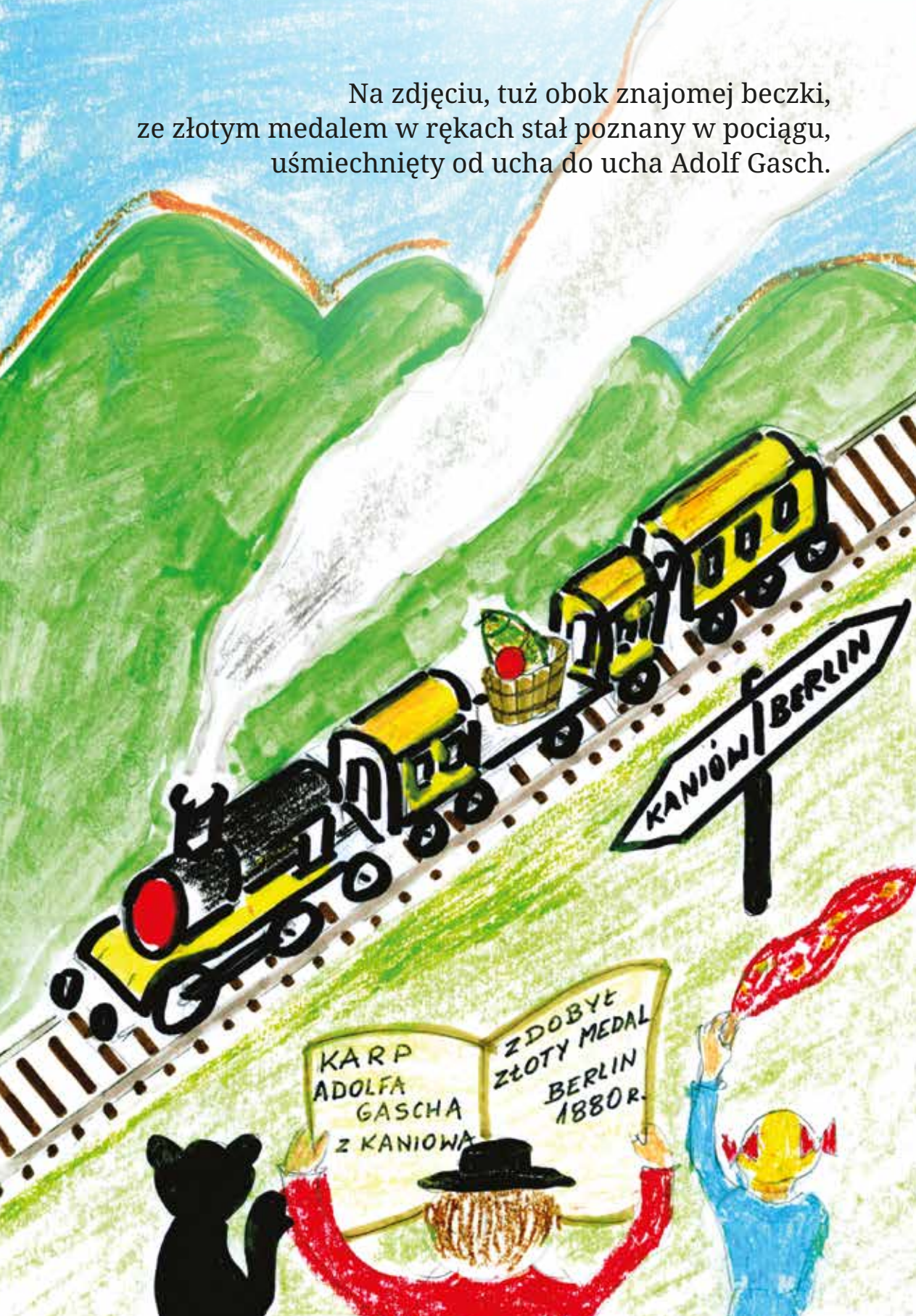
– *Dziękuję bardzo, żeby tylko karpie wytrzymały trudy podróży* – odpowiedział hodowca. – *Właśnie na stacji w Poznaniu będziemy zmieniać wodę w beczkach, żeby nie była zbyt gorąca i miała dużo tlenu.*

Gdy po kilku dniach Piotruś ze swoim tatą wracali pociągiem do Katowic, na dworcu usłyszeli głos chłopca sprzedającego gazety:

– *Luuuuudzie, kupujcie „Echo Katowic”! Złoty medal dla karpia z Kanioooowa! Złoty medal dla karpia z Kanioooowa!* – wydierał się na całe gardło gazeciarski.

Tata szybko spojrzał na Piotrusia, ten na tatę i już za moment trzymali w rękach gazetę. Tata zaczął na głos czytać relację z targów w Berlinie. Wszystko się zgadzało.

Na zdjęciu, tuż obok znajomej beczki, ze złotym medalem w rękach stał poznany w pociągu, uśmiechnięty od ucha do ucha Adolf Gasch.



Jak dzielny karp wodospad pokonał

Mały Kubuś już leżał w łóżku, ale jak zwykle czekał aż mama opowie mu jakąś nową bajkę na dobranoc,

– *O czym dziś chcesz bajkę?* – zagadnęła mama.

– *Może o rybkach?* – zapytał niespodziewanie Kubuś.

– *Posłuchaj więc bajki o japońskim chłopcu i jego karpie* – po chwili namysłu powiedziała mama.

– *W dalekiej Japonii wśród gór płynęła Błękitna Rzeka* – zaczęła mama. – W jej dolinie rozciągała się mała wioska Mijama, gdzie mieszkała cała gromadka radosnych dzieci. Gdy nadchodził maj, były tym radośniejsze, że zbliżało się ich święto. Wtedy właśnie na Dzień Dziecka razem z rodzicami sklejały z papieru różnokolorowe karpie. Kiedy małe japońskie dzieci pytały rodziców, skąd wziął się zwyczaj sklejanania ryb, dorośli odpowiadali tajemniczo, że to bardzo stara i bardzo dziwna historia. Podobno pod prąd Błękitnej Rzeki dawno temu płynął złoty karp. Pokonywał różne przeszkody, aby dotrzeć do źródeł rzeki i tam złożyć swoją ikrę, z której miały się wykluć małe karpiki. Gdy rzeka zrobiła się bardzo rwąca, karp płynął w górę z coraz większym wysiłkiem. Aż w końcu dotarł do wielkiego wodospadu, którego nie mógł już w żaden sposób pokonać. Ale karp nie poddawał się, mimo że miał coraz mniej sił.



– I co, i co, pewnie się nie udało pokonać wodospadu? – odezwał się zmartwiony Kubuś.

– Pewnie tak by było, gdyby nie Duch Gór, który docenił upór ryby i zamienił ją w latającego smoka – opowiadała dalej mama. – Teraz dawny karp dzięki skrzydłom z łatwością pokonał skalne progi i dotarł do upragnionych źródeł rzeki.

Gdy mama skończyła i spojrzała na Kubusia, ten już równo oddychał przez sen, a jego usta rozchyłały się w uśmiechu. Może śnił o karpie, który pokonywał góry w Japonii do dziś jest symbolem siły, nieustępliwości i odwagi dzielnych chłopców.



Jak staw uratował kijankę

Nad pewnym strumykiem w środku gorącego lata zapanował wielki smutek. Zabrakło wody, co nie zdarzyło za pamięci najstarszej ważki. Odsłonięte dno strumienia świeciło teraz wyschniętym piaskiem i kamykami, a tylko gdzieś tam pozostały małe kałuże. Ale co tu się dziwić, przecież od blisko dwóch miesięcy nie spadła w tej okolicy ani jedna kropla deszczu. Trawa wokół całkiem pożółkła, mniejsze rośliny ze zwiędłymi listkami wyczekiwały chłodniejszego wieczoru po dniu pełnym gorącego słońca i jedynie drzewa, które swoimi długimi korzeniami potrafiły znaleźć resztki wody głęboko pod ziemią, trzymały się dzielnie. Zwykle strumyk szemrał, tocząc wodę po kamykach – teraz panowała tu złowroga cisza.

– Pomocy, ratunku! – dał się słyszeć cichutki głosik.

Przechodzący obok mały zajaczek zatrzymał się, spojrzał na dno wysychającej kałuży i zobaczył niewielką kijankę.

– Co tu robi taka mała kijanka? – zapytał zajaczek.

– Przecież tu prawie nie ma wody.

– To już mój koniec – westchnęła kijanka. *– Niedługo wody będzie tak mało, że nie będę miała gdzie pływać. Ale najgorsze jest to, że im mniej jest wody, tym mniej tlenu do oddychania, a gdy jego zabraknie, zginę marnie.*

Zasmucił się zajaczek, ale biedak nie wiedział, jak kijance pomóc. Wtem nad jego długimi uszami coś zaszumiało, zaszemrało. Spojrzał w górę, a tam zawisła w powietrzu ogromna czerwona ważka.

*– Jestem najstarszą ważką w okolicy i niejedno widziałam, ale takiej suszy nie pamiętam, jak żyję – wyszeptała.
– Zajaczku, jeśli chcesz, możemy razem uratować kijankę. Ty poszukaj dużego liścia, a ja polecę po pomoc.*

Po paru chwilach, gdy zajaczek czekał z liściem przy kałuży, nadleciała czerwona ważka z trzema koleżankami – żółtą, zieloną i niebieską. Zajaczek włożył liść do kałuży, a gdy ostatkiem sił wpłynęła na niego kijanka, cztery ważki chwyciły cztery rogi liścia i uniosły w powietrze kijankę wraz z paroma kroplami wody.

Zajaczek tylko spojrział w górę i ruszył pędem za tą latającą karetką. Nie musiał biec zbyt daleko, bo po kilkuset metrach ważki wylądowały na brzegu tego samego strumyka. Ale cóż to? Tutaj strumyk radośnie szemrał i połyskiwał wodą, a nadbrzeżne rośliny kołysały się w rytm wiatru? Kijanka natychmiast wskoczyła do wody i zanim zniknęła w falach strumyka, zdążyła tylko krzyknąć:

– Dziękuję, uratowaliście mi życie. Nie rozumiem tylko jednego – dlaczego niedaleko stąd, strumyk jest suchy, a tu jest już pełen świeżej wody?

– *Ja też nie rozumiem, ja też nie, to chyba jakiś cud*
– *wykrzyknął zdyszany zajaczek, który aż pyszczek*
otworzył ze zdziwienia.

– *I tak, i nie* – *odpowiedziała tajemniczo czerwona*
ważka. – Spójrzcie, za tym wałem zwanym groblą
jest staw karpiovy. W nim rybacy hodują karpie i wiosną
każdego roku zbierają dla ryb ogromne masy wody.
Kiedy panuje susza, woda ze stawu ciurka różnymi
szparami przez groble i dno stawu. W ten sposób woda
wraca do strumyka, a z nią życie.

– *Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal* – *słysząc*
było z daleka śpiew kijanki.





Jak niedźwiedź przegrał z ptaszkami

Pewnego razu nad staw przyleciał z ciepłych krajów pelikan i zapowiedział donośnym głosem:

– Jestem heroldem Króla Lwa, który za tydzień tu przybędzie na igrzyska pomiędzy zwierzętami leśnymi i wodnymi. Zatem wzywa wszystkich do stawienia się na zawody w przeciąganiu liny, która będzie rozłożona w poprzek stawu. Zwycięzcy, którzy wciągną do stawu przeciwników, otrzymają na zawsze puchar Króla Lwa.

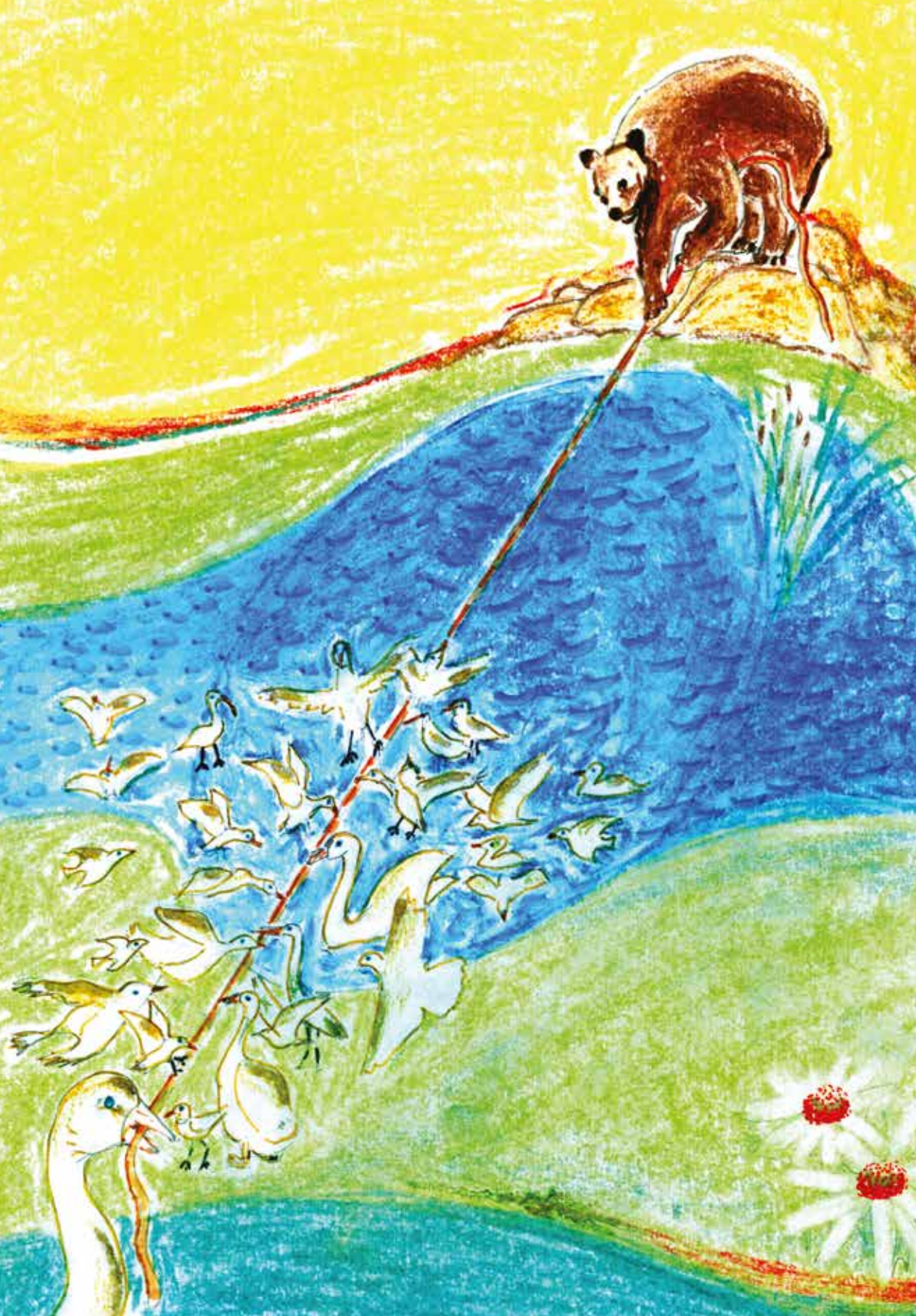
Jak pelikan zapowiedział, tak się stało. Wspaniałą karetą zaprzęgniętą w cztery wielbłądy, wprost z Afryki, przybył Król Lew. Władca wyszedł z karocy, usadowił się na wzgórzu i skinieniem głowy dał znak do rozpoczęcia zawodów.

Kapitanem reprezentacji leśnych zwierząt był potężny niedźwiedź, a w jego drużynie znajdował się jeszcze potężniejszy żubr, wielki łoś, duży jelen, nieco mniejszy borsuk, a także wilk, lis i wiele mniejszych zwierząt.

Wtedy gruchnęła wiadomość, że z drugiej strony linę będą ciągnęły wyłącznie ptaki.

– Chyba pęknę za śmiechu, nie wytrzymam, ptaszki chcą nas pokonać – chichotał niedźwiedź tarzając się po trawie. – Królu, czy ja przeciwko tym słabeuszom mogę wystartować sam?

– Rób jak uważasz, ale pamiętaj, że tej decyzji zmienić już później nie będzie można – powiedział Król Lew.



Niedźwiedź zaczepił linę o pazur najmniejszego palca i nawet nie patrząc na przeciwników, żartował sobie z lisem i wilkiem.

Tymczasem łabędź, kapitan wodnych ptaków, zapraszał do ciągnięcia liny kolejne ptaki, które żyją nad stawem.

– *Iiiiiii raaaaz!* – dyrygował swoim zespołem łabędź. – *Teraz dołączają kaczkę* – krzyczał.

I faktycznie za linę chwyciły dziobami krzyżówka, cyranka, cyraneczka, czernica, podgorzałka, krakwa, i wiele innych. Po chwili spośród czapli do walki włączyła się czapla siwa i biała, a z nimi ślepowron, bąk i bączek. Po nich przyszedł czas na bociany: białego i czarnego, a za kolejnych kilka minut do walki wkroczyły liczne perkozy, trzciniak, trzcinniczek i potrzos.

Nie minęło pół godziny, a na drugim końcu liny niedźwiedź poczuł rosnący opór. Kiedy do przeciwników dołączył jeszcze łabędź krzykliwy, bielik, błotniak stawowy, kania ruda i czarna, a także rybołów, niedźwiedź po raz pierwszy został pociągnięty w stronę stawu.

Na nic się zdało napinanie mocarnych mięśni niedźwiedzia, na nic się zdało kibicowanie leśnych zwierząt. Drużyna wodnych ptaków z minuty na minutę zyskiwała coraz większą przewagę, a przecież do walki nie stanęła jeszcze nawet połowa ptaków, które zamieszkują stawy.

Kiedy stało się omal jasne, że za moment niedźwiedź wpadnie do stawu razem z liną, co oznaczać będzie porażkę leśnych zwierząt, na pomoc swojemu kapitanowi rzucił się lis, wilk i cała reszta.

No i stało się – przeciągnęły linę na swoją stronę,
a wszystkie ptaki wpadły do stawu.

Krzyk zwycięzców zagłuszył ryk Króla Lwa:

– Złamaliście zasady. Ogłaszam, że zwyciężyła drużyna zwierząt wodnych.

– To niesprawiedliwe – żalił się niedźwiedź. – Nie wiedziałem, że nad stawem tyle tego ptactwa żyje!

Lew tylko uśmiechnął się z politowaniem i dodał:

– Musisz jeszcze wiele się nauczyć. Po pierwsze – zgubiła cię zarozumiałość, a po drugie – brak wiedzy. Każdy powinien wiedzieć, że stawy karpiove, to prawdziwy raj dla tysięcy ptaków.



Jak wydrze pereł się zachciało

Działo się to całkiem niedawno w Oświęcimiu w sądzie dla zwierząt.

– *Oskarżoną wydrę na salę rozpraw wprowadzić!* – powiedział stanowczo sędzia puchacz do dwóch wyźłów pełniących tu rolę strażników sądowych.

Już po chwili wydra siedziała na ławie oskarżonych, która była tak ustawiona, że każdy, kto tam siedział, musiał patrzeć sędziemu prosto w oczy. Całkiem niedaleko w roli świadków zasiadła cała rodzina perkozów, a także rybitwa i bielik.

– *Czy oskarżona przyznaje się do wypuszczenia wody ze Stawów Adolfińskich?* – zapytał puchacz.

– *Nie, oczywiście, że nie przyznaję się* – odrzekła pewna siebie wydra.

Sędzia puchacz zmarszczył brwi i pytał dalej:

– *Czy ktoś ze świadków chciałby zabrać głos w tej sprawie?*

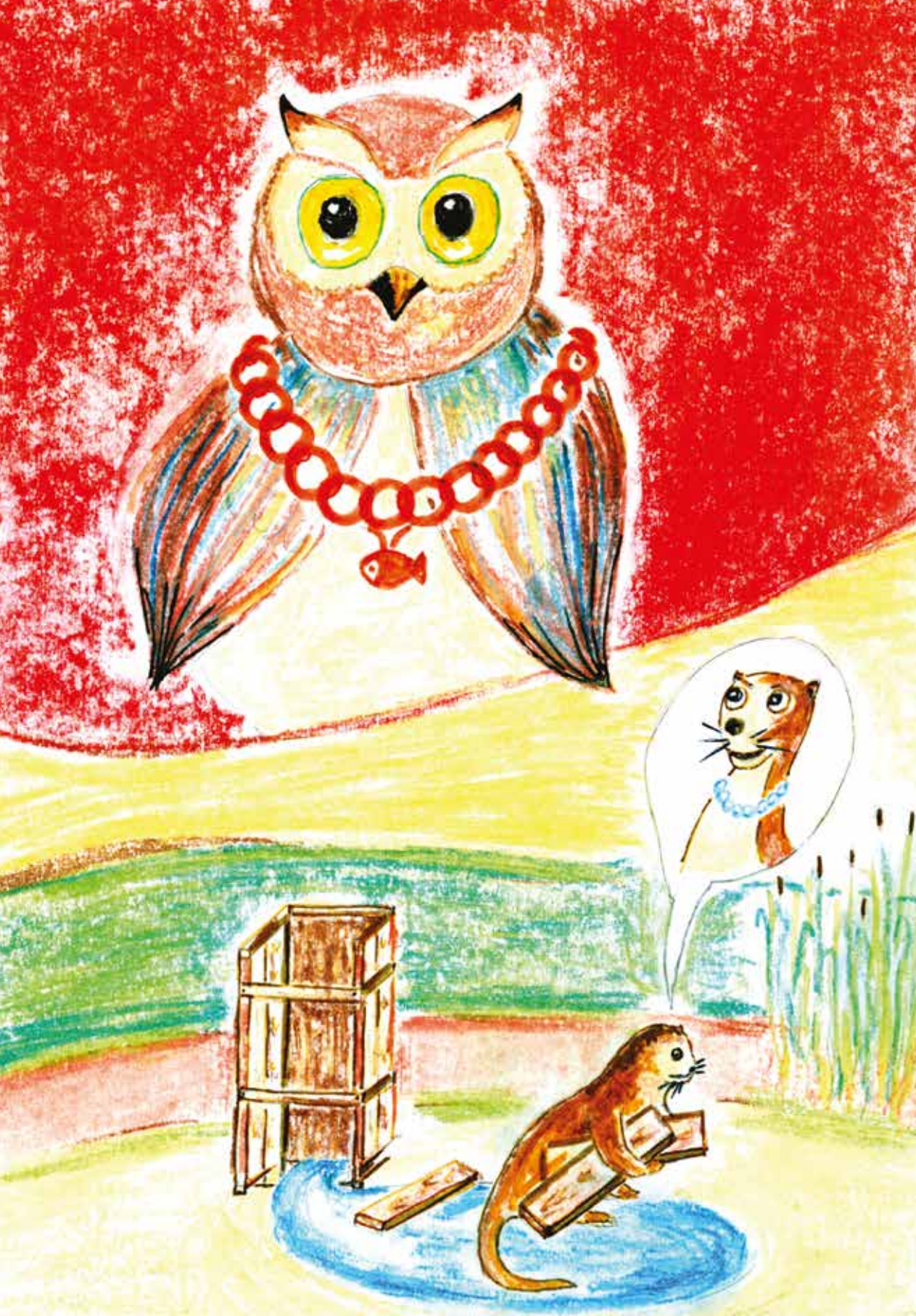
Wtedy jeden z perkozów zdecydowanie podniósł skrzydło do góry, dając znak sędziemu, że ma tu coś do powiedzenia.

– *Proszę opowiedz wszystko, co widziałeś i co widzieli inni świadkowie* – rzekł puchacz.

– Było to tak – rozpoczął perkoz. – Wczesną wiosną tego roku na Adolfińskich Stawach, gdy ja i bardzo wielu moich krewniaków zakładaliśmy swoje gniazda, zauważyłem, że z wodą dzieje się coś dziwnego. Normalnie, kiedy rybak hodował karpie, na wiosnę napuszczał do stawu pełno wody. W tym roku pierwszy raz od wielu lat wiosną rybak się nie pojawił, a wody w stawie było niewiele. Ale najgorsze nadeszło dopiero później. Któregoś razu przypadkiem słyszeliśmy rozmowę wydry i borsuka. Ten namawiał wydrę, żeby wyjęła wszystkie deseczki z mnicha, czyli tej tamy na stawie, bo chciał przez staw wybudować sobie nową drogę do jeżdżenia na hulajnodze. Wydrze zaś za tę przysługę obiecał naszyjnik z pereł – kontynuował perkoz.

– Podczas moich lotów widziałem potem, jak wydra nurkuje wokół mnicha i wyciąga kolejne deseczki, a woda z szumem wylatuje ze stawu – dodał bielik.

– Po kilku dniach, gdy w stawie było coraz mniej wody, musieliśmy się spakować, żeby ratować nasze jaja i świeżo wyklute pisklęta w poszukiwaniu nowego domu – relacjonowała rybitwa. – Niestety niektórzy tej przeprowadzki nie przeżyli. Trzeba wiedzieć, że nasze gniazda są bezpieczne tylko wtedy, gdy wkoło nich jest woda, a nie suche dno, po którym mogą przejść drapieżniki – zaszlochała rybitwa. – Kiedy uciekaliśmy z Adolfińskich Stawów, spotkaliśmy zadowoloną wydrę z perłami na szyi – dodała smutno.



W tym momencie zarówno sędzia, jak i wszyscy obecni na sali sądowej spojrzeli na wydrę, która łapami zasłaniała sznur pereł na szyi. Stało się więc jasne, że przed nimi siedziała winowajczyni tragedii na stawach.

W chwilę potem zabrzmiał głos sędziego:

– Wydrę uznaje się winną cierpieniom ptaków wodnych i ich piskląt. Za karę razem z borsukiem odbudują tamę na stawie i przez całe pięć lat będą czyścili kanał, którym płynie woda do Adolfińskich Stawów. Ponadto wydra razem z borsukiem poproszą, aby rybak wrócił do hodowania karpia, bo to gwarantuje wodnym ptakom spokojne życie na stawach. Oczywiście borsuk może sobie na hulajnodze hulać, ale drogę musi sobie wybudować z dala od karpowych stawów – dodał sędzia puchacz zadowolony, że przywrócił w wodnym świecie sprawiedliwość.



Jak balon przepędził czarnego złodziejaska

Kiedys kot i ryś wyruszyli nad rzekę z wędkami. Obaj mieli wielką ochotę na ryby.

– *Mniam, mniam, aż mi ślinka cieknie, gdy pomyślę o świeżej rybce* – rozmarzył się kot.

– *Oj tak, niebo w gębie, też mam na rybę chrapkę*
– wtórował mu ryś.

Niestety ryby nie brały ani tego dnia, ani w dwóch kolejnych i wędkarze musieli obejść się smakiem. Kiedy koledzy byli już o krok od całkowitego zniechęcenia, na słupie ogłoszeniowym dostrzegli reklamę kursu rybackiego, która brzmiała: *„Każdy może sobie wyhodować ryby! Wystarczy przyjść na kurs i dowiedzieć się wszystkiego, co trzeba, aby zostać rybakiem”*.

Kot i ryś raz, a potem drugi, przeczytali ogłoszenie i znacząco spojrzeli na siebie:

– *To jest właśnie to, o co nam chodzi!* – krzyknęli równocześnie.

Nie minęło kilka dni, a młodzi rybacy już uczyli się w nowej szkole o wodzie, o wodnej przyrodzie, o różnych gatunkach ryb i ich hodowaniu. A że uczniami byli bardzo pilnymi, na koniec kursu otrzymali dyplomy „Mistrza Rybackiego”.



BUM!

BUM!

BUM!

Teraz już wiedzieli co robić, żeby móc jeść ryby z własnej hodowli. Na dodatek mieli sporo szczęścia, bo przypomnieli sobie, że w okolicy jest stary, zaniedbany staw rybny, który wystarczy wyczyścić i pogłębić. Jak pomyśleli, tak zrobili. Wzięli w ręce grabie i łopatę, a w kilka dni staw był gotowy do zarybiania. Od znajomego rybaka dostali dziesięć małych karpików, a od rolnika worek ziarna pszenicy. Rybki najpierw zjadały plankton, larwy owadów i inny naturalny pokarm, który znajdowały w stawie, potem kot z rysiem zaczęli dokarmiać je ziarnami zbóż. Po miesiącu małe karpie całkiem nieźle już podrosły.

– *Ale co to? Brakuje jednej ryby* – wykrzyknął oburzony kot. – *Policzyłem je chyba ze trzy razy i ciągle nie mogę się wszystkich doliczyć.*

– *Niestety, masz rację, jest dziewięć, ale może źle policzyliśmy na początku, może nie było dziesięć?* – próbował uspokoić kolegę ryś.

Po miesiącu znów byli ciekawi, jakie efekty przyniosła ich praca nad stawem. Zaczęli znów liczyć karpie.

– *Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...* – odliczał kot. – *Co? Teraz brakuje już trzech!* – *Ktoś musiał je ukraść!* – gniewnie wypalił ryś. – *Nie pozostaje nam nic innego jak złapać złodzieja.*

Postanowili ukryć się w przybrzeżnym sitowiu i czekać na to, co się wydarzy. W nocy nad stawem słychać było tylko rechot żaby i śpiew słowika, a nasi rybacy z każdą chwilą stawali się coraz bardziej senni. Nad ranem sen okazał się mocniejszy i obaj zasnęli jak kamienie.

– *Pobudka, pobudka* – szeptem kumkała żaba.
– *Wstawajcie i spójrzcie, mamy tu nieproszonych gości.*

Gdy kot i ryś już się trochę obudzili, ich oczom ukazały się krążący nad stawem kormorany.

– *To straszni rybożercy, na pewno przyleciały tu, żeby ukraść ryby* – alarmowała żaba.

Wtedy ryś wyjął ze swojej torby balon, który dostał w poprzednią niedzielę na rybackim festynie i też szeptem powiedział:

– *Kotku, ja nadmucham balon najmocniej jak umiem, a ty na mój znak przekłuj go swoim najostrzejszym pazurem.*

Kiedy jeden z kormoranów zbliżył się do stawu na długość swojego ostrego jak brzytwa dzioba, ryś krzyknął:

– *Teraz!*

Wówczas pazur kota przebił balonik, a poranne powietrze rozdarł przerażający huk. Kormoran i jego koledzy w locie zrobili fikołka i ruszyli jak rakiety z powrotem w stronę wschodzącego słońca.

Od tej pory nikt już kormorana tu nie widział, a kot, ryś i inni rybacy mogli spokojnie hodować swoje karpie.



Jak rybarczyk uratował Kraków przed smokiem

W czasach, kiedy nad Wisłą rządzili królowie, jeden z nich zwany Krakiem zasiadał na tronie w Krakowie. Pod jego rządami działo się dobrze w królestwie, bo ludzie pracując, zarabiali nie tylko na chleb, ale też i na rozrywki. Wojsko było dobrze opłacone, uzbrojone i skutecznie broniło granic królestwa przed wrogami. Cóż z tego jednak, kiedy właśnie dobre czasy się skończyły. Strach padł na Kraka i poddanych. Strach padł nawet na wojsko i wkrótce nie było komu bronić królestwa. Dlaczego tak się stało? Jak zwykle w takich przypadkach musiał się przyplątać jakiś paskudny smok. A ten był wyjątkowo paskudny, bo nie dość, że miał trzy głowy, to jeszcze był bardzo żarłoczny i to jak się okazało – potrójnie. Jego jadłospis był bardzo szeroki i smok tak go od razu przedstawił Krakowi:

– W poniedziałek lubię zjadać kury – zaczął wyliczać smok. – We wtorek wolę owce, bo barany mają twarde rogi. W środę smakuje mi bigosik ze skwarkami, ale grubymi, pamiętaj Kraku o tym drobiazgu. W czwartek króliki albo zające – smok aż się oblizał, gdy to powiedział. – No i teraz przejdę do piątku, ale najpierw się przedstawię, bo jeszcze chyba nie zdążyłem. Jestem smok Karpiożer i teraz chyba się domyślasz, co mi sprowadzisz na piątkową ucztę?

– Do-my-my-myślami się – zająknął się wyjątkowo zdenerwowany Krak.



Zresztą miał powody do niepokoju, bo wiedział, że z Karpiożerem to nie przelewki. Smok przecież zapowiedział, że jeśli jego głód nie zostanie zaspokojony, zacznie zjadać ludzi. Tak więc, żeby nie marnować czasu, Krak wysłał swoich gońców, aby dotarli do dwóch bardzo znanych kupców, którzy handlowali rybami.

Pierwszy z nich, który miał swoje sklepy we wszystkich krajach Europy, przesłał wiadomość, że karpie już zostały wysłane do zamku Kraka. I rzeczywiście po siedmiu dniach, w piątek z rana, u bram zamku stanął wóz z karpami. Słudzy natychmiast przejęli ryby i pędem pobiegli do kuchni Kraka. Smok nie mógł już się doczekać i jedną ze swoich głów wcisnął między kucharzy:

– Stoooooop! – zaryczał Smok. – Ten kto te karpie tu przywiózł, niech je zabiera z powrotem. Przecież one po takiej długiej podróży są zwyczajnie nieświeże, fuj!

Król przeprosił smoka, ale na szczęście do bram zapukał drugi kupiec. Może nie miał sklepów w całej Europie, ale za to w całym kraju i jechał z ubitymi rybami nie siedem, a tylko trzy dni.

– Stoooooop! – znów ryknął Karpiożer. – To ja tu czekam na ryby z najwyższej półki, a ty Krak podsyłasz mi coś, co było świeże dwa dni temu? Skandal! – dodał naprawdę już rozżłoszczony smok.

W głowie Kraka już pojawiły się czarne myśli. Był pewien, że Karpiożer teraz już się zemści.

Ale jak to możliwe, że karpie nie były świeże, przecież to byli tacy znani kupcy. I w tym momencie do bram grodu zapukał mały chłopiec, mówiąc:

– Dzień dobry, Królu Kraku – przywitał się kłaniając w stronę króla. – Jestem małym rybarczykiem, a mój tata jest rybakiem i trzyma karpie w stawiku tuż za murem zamku. Chętnie cię poratujemy.

– Biegnij szybko po karpie – poprosił Krak

Nie minęło pół godziny i rybarczyk wrócił z wiadrem karpie. Smok, gdy powąchał ryby, aż zamlaskał i oblizał się trzema jęzorami jednocześnie. Jedząc, podśpiewywał pod trzema nosami:

*– Smok w Krakowie je kapustę,
czasem też owieczki tłuste,
w piątki dietę zaś stosuje,
świeżych karpie potrzebuje –
mniam, mniam, mniam.*



Jak karpie łykają czekoladki

Wiosna to jednak piękna pora roku. Najpierw kwitną wierzby, całe obsypując się puszystymi baziami, potem zaraz białe przebiśniegi, a jeszcze później to już cała przyroda rozkwita. Pojawiają się też ptaki, których nie widzieliśmy kilka miesięcy – z ciepłych krajów przylatują bociany, jaskółki, kukułki i słowiki. Pokazuje się coraz więcej owadów – pracowicie brzęczą pszczoły, z kwiatka na kwiatek przelatują motyle, które żywią się kwiatowym nektarem, a gdy jest wilgotno, pojawiają się komary i inne owady, które uwielbiają wodę. Dzieci zaś kochają wiosnę i wiosenne spacerzy. I właśnie na takim spacerze przedszkolak Wacusi, zapytał panią Halinę, swoją wychowawczynię z grupy „Rybek”:

– Dlaczego jaskółki latają dziś tak wysoko?

– Ja wiem, ja wiem – szybkoitko podniosła palce do góry Lucynka. – Jaskółki pewnie lubią słońce i lecą jak najbliżej, żeby się wygrzać.

– Oj, chyba nie jest to tak, jak mówisz – rzekła pani Halina. – No więc kto powie, dlaczego jaskółki fruują wysoko?

Wśród przedszkolaków zapadła najpierw cisza, ale zaraz rękę do góry podniósł Zbysiu i ogłosił wszystkim:

– Ja nie wiem dlaczego dziś fruują wysoko, ale pamiętam że wczoraj koło rzeki, gdzie mieszkam, latały nisko, tuż nad łąką.

– *No tak, to już wiemy, że jednego dnia jaskółki latają nisko, a drugiego dnia wysoko* – powiedziała pani Halina.
– *Jaskółeczki to ptaki, które żywią się owadami, a owady unoszą się wraz z prądami powietrza. Kiedy jest pogoda słoneczna, ciepłe powietrze wypycha owady ku górze, a za nimi natychmiast lecą jaskółki i tam na nie polują. Gdy pogoda jest wilgotna i chłodna, jest całkiem odwrotnie i wtedy rzeczywiście jaskółki widzimy tuż nad wodą albo łąką* – wyjaśniała pani Halina.

– *Ahaaa...* – odpowiedziały przedszkolaki omal chórem.

Kiedy wycieczka dotarła nad staw, pani Halina wyjęła z wody gruby patyk. Panował na nim ruch jak na autostradzie – tu coś pełzło, tam coś biegało, a w jeszcze innym miejscu coś czało się w rurce z kamyków.

– *A moja mama mówi, że nad stawem zawsze jest dużo robactwa. Czy to prawda?* – zapytał Kaziu z otwartą buzią.

– *A ciocia Helena to nie wchodzi do stawu ani do jeziora, bo się boi pijawek i glonów* – powiedziała z poważną miną Celinka.

– *Proszę pani, proszę pani, a mój wujek Włodek jest wędkarzem* – prawie krzyczał czarnowłosy Waldek. - *Wujek to wyciąga takie właśnie robaczki z wody i zakłada na haczyk na ryby. Czasem nawet mi daje trochę połowić.*

– *A ja z tatą też łowiłem ryby w tamte wakacje i złowiłem lina* – pochwalił się Jasiu, pokazując rękoma wielkość ryby.

Pani Halina tylko się uśmiechała, bo cieszyła się, że staw i drobne zwierzęta, które pokazała dzieciom, wywołały tyle gorących emocji.



– Nad stawem fruują ważki, komary, chruściki i ochotki i wiele innych owadów. Większość z nich wykluwa się z niepodobnych do siebie larw, które całymi miesiącami, a nawet latami mieszkają sobie pod wodą – wyjaśniała pani Halina. – Dla karpia hodowanego w stawie larwy owadów to prawdziwe smakołyki, coś jak dla was czekoladki. Dzięki jedzeniu takiego naturalnego pokarmu, karpie i inne ryby nie pływają głodne, rosną jak na drożdżach i są zdrowe.

– Czyli ryby wyjadają ze stawu wszystkie larwy owadów?
– zapytała Lucynka.

– Nie, nie, spora część wylatuje z wody już jako dorosłe owady, no ale wtedy polują na nie na przykład jaskółki, a w nocy nietoperze – wyjaśniła pani przedszkolanka. – Niełatwo jest być owadem.



Jak pierścień królowej odnaleziono

Ponad 500 lat temu, za czasów Królowej Bony, tuż koło Knyszyna na Podlasiu rozpoczęto budowę Stawu Zygmunta. A był to staw nad stawami. Żeby napełnić go wodą z przepływającej obok rzeki Nereśli trzeba było czekać aż kilka tygodni. Do dziś hoduje się w nim karpie, a jest tak potężny, że może się w nim zmieścić ponad 500 piłkarskich boisk. No i jest z nim też związana pewna legenda.

A było to tak... Kiedy Królowa Bona dowiedziała się, że Staw Zygmunta jest już napełniony wodą, postanowiła to wielkie dzieło osobiście zobaczyć. W połowie maja powozy królewskiej kolumny stanęły nad brzegiem stawu-giganta. Królowa Bona wysiadła z karety i przesiadła się, w obstawie strażników, do podstawionej dużej rybackiej łodzi. Tego dnia nie było zbyt ciepło, a królowa, która pochodziła ze słonecznej Italii, zwyczajnie marzła. A wiadomo przecież, że jak się marznie, to palce robią się chudsze, a jak one robią się chudsze, to pierścienie stają się luźniejsze. A jeśli to wszystko w dodatku dzieje się na łódce, to nieszczęście gotowe. Będąc już spory kawałek od brzegu, Królowa Bona machnęła dłonią, żeby pokazać, w jakim kierunku chce płynąć i w tym momencie z jej palca zsunął się królewski pierścień, który po chwili z pluskiem wpadł do stawu. Wszyscy byli zrozpaczeni, a królowa najbardziej, bo przecież bez tego pierścienia rządzenie królestwem było prawie niemożliwe.

Wszyscy starali się trafić na ślad złotego pierścienia z opalem, ale ani rybacy – wiosłami, ani strażnicy królowej – halabardami, nie zdołali trafić na jego ślad. Kiedy Królowa Bona z bezsilności aż się rozplakała, do brzegu podpłynęły trzy kaczkki cyranki, a jedna z nich odezwała się:

– *Królowo nasza, pomożemy Ci* – zadeklarowała pierwsza cyranka – *Pomożemy, pomożemy* – zawtórowały pozostałe.

Cyranki nurkowały, nurkowały, ale wciąż niczego, co by przypominało pierścień, nie znalazły.

– *Dziękuję wam kaczuszki za waszą ofiarność, ale głęboka woda i fala na stawie udaremnia poszukiwania* – smutno powiedziała Bona.

Gdy usłyszały te słowa przepływające obok łabędzie, to i one zaraz chciały pomóc. Ze swoimi długimi szyjami wydawały się idealne do poszukiwań pod wodą.

– *Królowo, przeszukamy każdy centymetr dna* – syknęły łabędzie. – Na pewno znajdziemy pierścień.

Okazało się jednak, że i te poszukiwania nie dały rezultatu. Pierścienia jak nie było, tak nie było. Królowa Bona nie wyobrażała sobie, co powie swojemu mężowi, jak mu wytłumaczy zgubę drogiego pierścienia, który dostała od niego w dniu ślubu. I wtedy od strony trzciny dał się słyszeć ni to pisk, ni to szczekanie, a w chwilę później oczom królowej, jej orszaku i rybaków ukazała się czteroosobowa rodzinka wydr.



Widok tych wodnych zwierząt znów wlał w serce królowej nadzieję.

– Proszę, pomóżcie mi odnaleźć królewski pierścień, który zsunął mi się z palca i zatonął w stawie – szepnęła królowa. – Jeśli wam się uda, dostaniecie ode mnie nagrodę.

Wydry pokiwały głowami, zapiszczały, poszczekały i zanurkowały w głąb stawu. Widać było, jak od czasu do czasu wynurzają głowy spod wody i znów zawzięcie nurkują. W pewnym momencie w zębach jednej z nich coś błysnęło, a gdy zbliżyła się do brzegu, Bona rozpoznała swoją zgubę.

– Dziękuję wam z całego serca – wykrzyknęła wzruszona królowa. – Czego chcecie w nagrodę?

– Nic wielkiego, chcemy tylko, żeby po wsze czasy na stawach królewskich, dworskich i chłopskich wolno nam było jeść karpie na potrzeby naszej wydrzej rodziny – oznajmiła największa z wydr.

– Dlaczego akurat karpie? – Zapytała Królowa Bona. Ta sama wydra odpowiedziała:

– Dlatego, że jedząc karpie, jesteśmy zdrowe, mamy najwięcej siły do pływania i nigdy nie jesteśmy zmęczone, a pod wodą możemy nurkować omal bez końca.

– Niech więc tak będzie – odpowiedziała Bona. – Jest jednak pewien warunek – liczbę łowionych karpie musicie zawsze uzgodniać z gospodarzem stawu, czyli rybakiem.

Jak wodnik Rzęsorek tytuł królewski karpiovi załatwił

Czy wiecie kim byli płatnerze i czym się zajmowali w dawnych czasach? Byli to bardzo szanowani rzemieślnicy, którzy dla rycerzy i dla ich koni robili zbroje. Zbroje chroniły rycerzy w czasie wojen, gdzie walczyli na miecze i inną ostrą metalową broń.

Kiedyś zdarzyło się, że do warsztatu płatnerskiego mistrza Floriana przyjechał na koniu posłaniec od króla.

– *Alarm, mistrzu! Alarm!* – zakrzyknął od progu. – *Wielka wojna nadchodzi. Król potrzebuje sto nowych zbroi i to na już* – kontynuował podniesionym głosem posłaniec.

– *Panie, nawet gdybym wziął stu pomocników i pracował przez tydzień cały i to dzień, i noc bez przerwy, to nie uda się tych stu zbroi zrobić, bo nie mamy już łusek* – odpowiedział płatnerz Florian. – *Kowal Władek, który je dla mnie wykonywał, ostatnio zachorował i mój magazyn świeci pustkami.*

Zasmucił się królewski posłaniec, bo musiał z niczym wracać do zamku, a wiedział, że królestwo jest w wielkiej potrzebie. Kiedy jednak był w drodze i przejeżdżał koło stawu zwanego wówczas rybnikiem, zauważył tam mnóstwo pracujących ludzi. Część z nich brodziła w wodzie z siecią, część nosiła skrzynki pełne jakichś ryb, a kilku ładowało beczki na wozy konne. Przystanął i zaczął się temu wszystkiemu z zaciekawieniem przyglądać.



– *Witajcie dobrzy ludzie – zaczął posłaniec. – Widzę, że łowicie ryby. To chyba nie jest lekka praca?*

– *No, lekka nie jest, ale bardzo lubimy hodować karpie*
– powiedział Lech, najstarszy z rybaków. – *Właśnie odławiamy te dwuletnie, czyli kroczi i przewozimy do zimochowów, takich głębokich stawów ze świeżą wodą. Podjedź tu bliżej, a zobaczysz nasze karpie.*

Kiedy posłaniec króla zbliżył się do stawu, zobaczył, że w trawie na brzegu stawu coś błyszczy. Zsiadł z konia i schyliwszy się, wziął na palec błyszczącą rybią łuskę. Przyjrzał jej się uważnie i rzekł: – *Właśnie takich łusek potrzebuję, najlepiej z pół wozu.*

– *Cóż takiego?* – spytał zdziwiony Lechu.

– *Król i królestwo potrzebują mnóstwa łusek na zbroje dla rycerzy. Wojna tuż, tuż...* – dodał posłaniec.

Zadumał się rybak, zadumał się posłaniec. Nagle coś w trzcinach błysnęło, w górę wyleciała wielka fontanna wody i ludziom ukazała się zielona postać w kapeluszu z rękami przypominającymi bardziej płetwy niż dłonie. W tym samym momencie dał się słyszeć skrzekliwy głos:

– *Jestem wodnik Rzęsorek, mieszkam w stawie i czasem, jak zechcę, spełniam życzenia ludzi.*

Królewskiemu posłańcowi aż oczy z radości się zaświeciły.

– *A czy życzenie naszego króla spełnisz?* – Zapytał posłaniec z nadzieją w głosie.

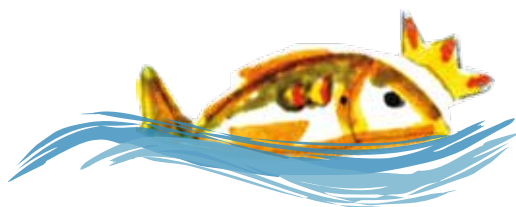
– *Królewskie życzenie?* – wodnik zaskrzeczał wyraźnie zdziwiony. – *A niby jakie, hę?*

– *Królestwo pilnie potrzebuje na wojnę pół wozu łusek na sto zbroi dla rycerzy* – wyliczał posłaniec. – *Niestety kowal zachorował i płatnerz Florian nie może zacząć pracy, a wojska wroga coraz bliżej naszych granic.*

– *Hmmm, może da się coś zrobić, ale...* – tu Rzęsorek zawiesił głos. – *Moim zaklęciem mogę zdjąć łuski z karpi, poświęcić je na zbroje dla rycerzy, gdy ojczyzna w potrzebie, ale za tę ofiarność król musi nadać karpiom królewski tytuł!* – dokończył podniesionym głosem wodnik.

– *Nie ma sprawy, nie ma sprawy* – zapewniał królewski goniec, wsiadając w biegu na konia. – *Jadę opowiedzieć to królowi* – krzyknął z entuzjazmem na odjezdne.

I wszystko skończyło się dobrze. Z karpiowych łusek Florian zrobił sto nowych zbroi, wojska wroga zostały pokonane, a karpie dzięki ofiarności i sprytowi wodnika Rzęsorka, od tego czasu noszą dumną nazwę karpi królewskich, najchętniej kupowanych przed Wigilią.



BAJKI – NIE BAJKI „Pana Karpia” są pełne historii rybactwa, wody, ryb, ptaków i zwierząt. W żartobliwej formie wykorzystują znane i lubiane bajki dla dzieci, łącząc je z faktami historycznymi. Moje dzieci z ciekawością poznawały, nowe dla nich, nazwy ptaków i z uśmiechem powitały Smoka Karpiożera! Bohater opowiadań karp jest w tych BAJKACH nie tylko na talerzu, ale mieszka w stawach z żabami i innymi zwierzętami tworząc środowisko, które z nim dzielimy!

Zygmunt Okoniewski

„Opowieści Pana Karpia” w barwny sposób pobudzają wyobraźnię każdego, nie tylko młodego czytelnika i słuchacza. Jest w nich historia mnichów, którzy przed wiekami budowali stawy, by w nich hodować ryby, a swą wiedzę i umiejętnościami dzielili się szczerze, dzięki czemu w Polsce tak pięknie w krajobraz i tradycję wpisały się stawy karpiove. Są też postacie historyczne Tomasza Dubischa i Adolfa Gascha, którzy współtworzyli obecny kształt hodowli karpia. Jest wiele odniesień do legend, ale także do realnej codzienności życia stawów, ich różnorodności przyrodniczej i istotnej roli jaką spełniają w jej kształtowaniu i utrzymaniu. A wszystko to ubrane w ciepły ton łądowej bajki, w której zawsze zwycięża piękno i dobro.

Miroslaw Kuczyński

